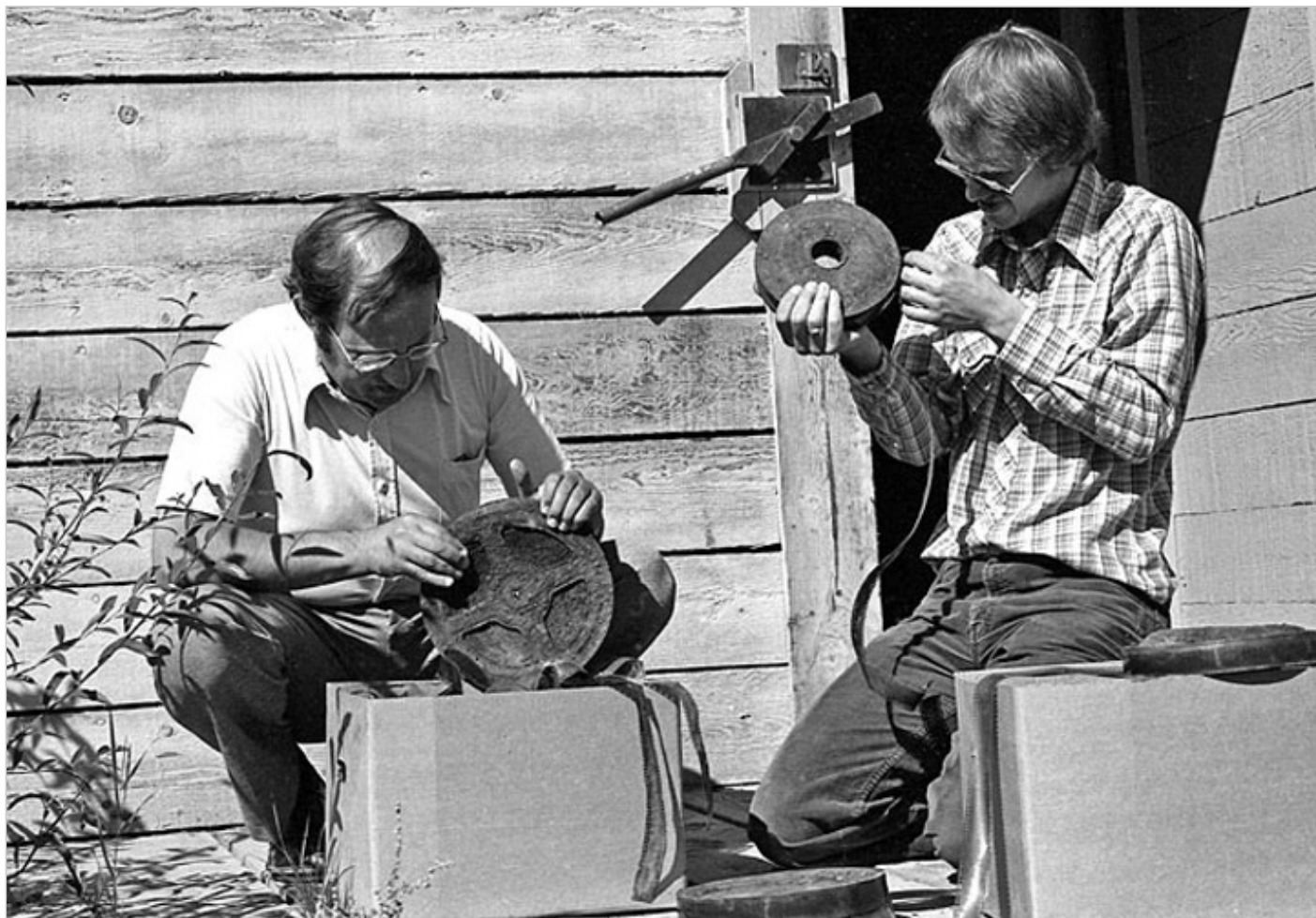


Nie wszystko umiera. 14. Millennium Docs Against Gravity Film Festival.

Korespondencja z Polski



Kadr z filmu „Dawson City. Świat zatrzymany”.

Barbara Lekarczyk-Cisek

Co roku festiwal filmów dokumentalnych Millennium Docs Against Gravity Film Festival otwiera się na nowe doznania, uwrażliwia na problemy współczesnego świata, ale także niesie pociechę, że pomimo wszystko piękna i dobra nie da się unicestwić i że człowiek i to, co w nim najlepsze, trwa w sztuce, także w sztuce filmowej.

W dniach od 12 do 21 maja 2017 r. odbył się największy w Europie festiwal filmów dokumentalnych: **Millennium Docs Against Gravity Film Festival**. W pięciu miastach: Warszawie, Wrocławiu, Gdyni, Bydgoszczy i Lublinie nie tylko zaprezentowano najnowsze dokumenty z różnych stron świata, ale odbyły się również debaty, spotkania z twórcami i dyskusje. A jeżeli ktoś miał jeszcze czas i energię, mógł po obejrzeniu kilku filmów popląsać w Klubie Festiwalowym CZUŁA JEST NOC i w ten sposób odreagować niezliczone problemy współczesnego świata.

Nagrodzone filmy - „Ostatni w Aleppo” głównym triumfATOREM



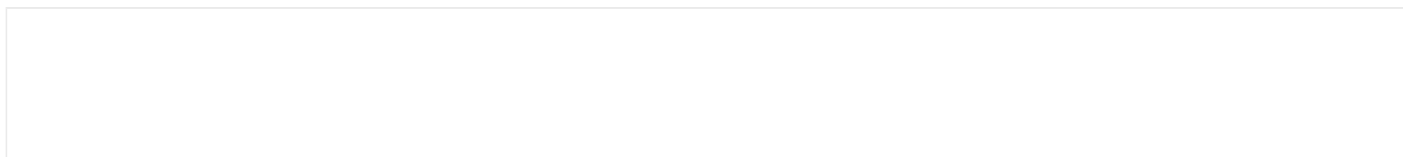
Kadr z filmu „Ostatni w Aleppo”

Jak co roku, jury w poszczególnych miastach wyłoniło najlepsze filmy. W tym roku werdykty zabrzmiały podobnie: w Warszawie zwycięskim dokumentem został film „**Ostatni w Aleppo**” (“Last Men in Aleppo”), w reżyserii **Ferasa Fayyada**, który we Wrocławiu otrzymał nagrodę specjalną za

silny, radykalny, boleśnie prawdziwy głos, który powinni usłyszeć wszyscy; za wstrząsający dokument, pokazujący ludzkie okrucieństwo i odwagę, głupotę i szlachetność; za pokazanie tego, od czego najchętniej odwracamy oczy.

Film Fayyada otrzymał również główną nagrodę w Bydgoszczy, a ponadto Grand Prix – Nagrodę Banku Millennium i 8 tys. euro.

Trailer filmu:



Kadr z filmu „Dobry listonosz”.

Natomiast we Wrocławiu Grand Prix Dolnego Śląska Marszałka

Województwa Dolnośląskiego w wysokości 3 tys. euro przyznano filmowi „**Dobry listonosz**” **Tonislava Hristova**. Jury nagrodziło „Dobrego listonosza” za

umiejętne zogniskowanie w jednym obrazie najważniejszych problemów współczesnego świata: niechęci do uchodźców, mechanizmów populizmu, wymierania wsi, arogancji władzy, starzejącego się społeczeństwa, ubóstwa, problemów przygranicznych społeczności. Jury doceniło wymiar krytyczny filmu, ale i jego doskonałą realizację w ramach gatunku, łączenie publicystyki z literacką przypowieścią, tonu anegdotycznego z realizmem.

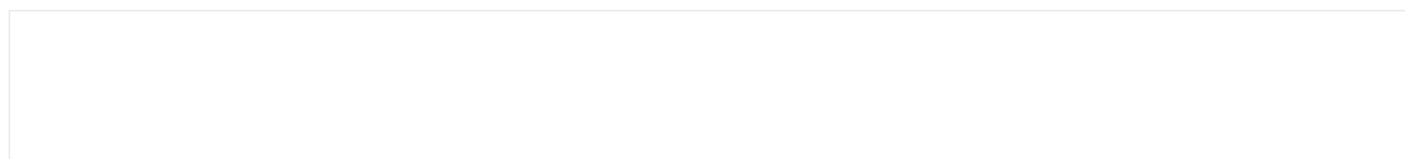
Trailer filmu:

Ten sam film otrzymał na warszawskim festiwalu wyróżnienie *ex quo* z "Safari" Ulricha Seidla.

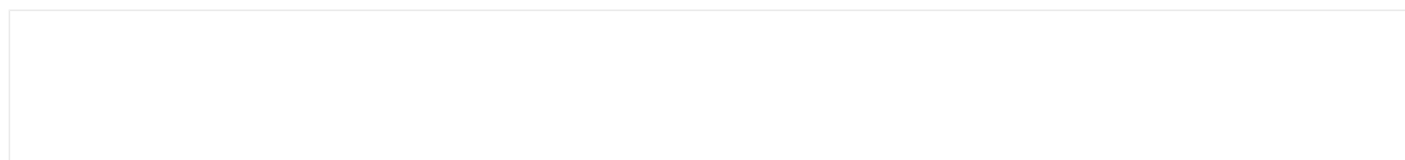
Po raz pierwszy w tym roku festiwalowa publiczność miała

szansę wyróżnić swój ulubiony tytuł. Nagroda Czytelników pisma „Co Jest Grane 24”, którzy głosowali w Warszawie, Wrocławiu, Gdyni i Bydgoszczy wraz z dwoma tysiącami euro powędrowała do **Krzysztofa Pawła Bogocza i Marcina Macuka** za film „**Happy Olo - pogodna ballada o Olku Dobie**„.

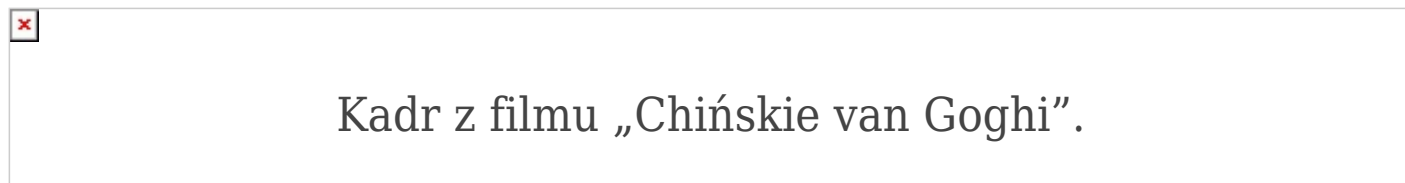
Trailer filmu:



Spośród wielu obejrzanych filmów najmocniej przemówiły do mnie trzy: „Chińskie van Goghi”, „Dawson City. Świat zatrzymany” oraz „Rumple. Jak Indianie zatrzęśli światem muzyki”. Choć nie zostały nagrodzone, (czego nie pojmuję), warte są uwagi i godne polecenia.



„Chińskie van Goghi”, czyli jak zostać... człowiekiem



Chińsko-holenderski film Haibo Yu i Kiki Tianqi Yu opowiada niecodzienną (dla nas, Europejczyków) historię. Otóż w 1989 roku pewien chiński biznesmen przekształcił niewielką robotniczą osadę Dafen w miejscowość... malarzy. Spośród mieszkańców biednych, sąsiadujących z nią wiosek, wybrał – początkowo niewielką – grupę osób, która miała zająć się malowaniem reprodukcji znanych malarzy. Ponieważ zamówień było coraz więcej, kopistów przybywało i obecnie Dafen liczy dziesięć tysięcy mieszkańców.

Na filmie oglądamy setki wiszących na sznurach, jak bielizna, kopii znanych obrazów. Przypomina to bazar w Samarkandzie, tyle, że zamiast wschodnich gobelinów i dywanów wiszą autoportrety van Gogha albo jego "Słoneczniki"...

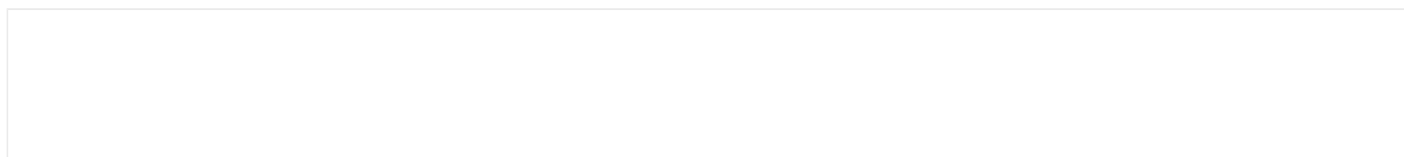
Obserwujemy także życie kopistów i ich rodzin: w pracowniach pełnych farb i wiszących płócien toczy się ich codzienne życie. Tutaj spożywają posiłki, śpią, w pracowni rodzą się i dorastają dzieci... No i przede wszystkim malują, całymi rodzinami – aby sprostać zamówieniom. Czasami trzeba w krótkim czasie namalować około tysiąca obrazów, toteż pracują zespołowo od świtu do nocy. Pracodawca sprawdza jakość kopii, każe poprawiać i ostatecznie płaci jakieś niewielkie pieniądze, które ledwo wystarczają na skromne życie.

Główny bohater filmu – Xiaoyong Zhao kopiuje obrazy od

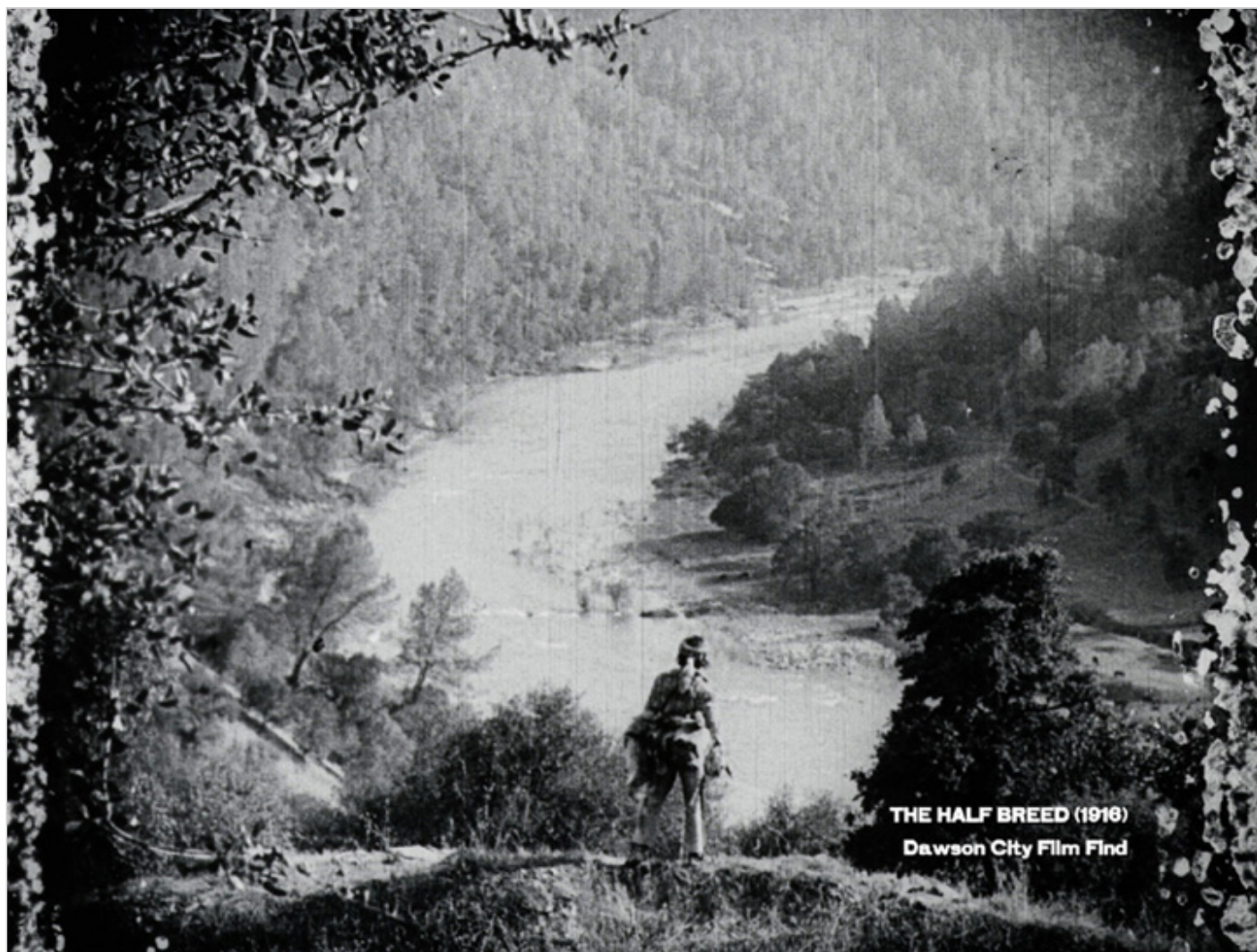
dwudziestu lat, przeważnie prace van Gogha. Pochodzi z biednej wiejskiej rodziny – rodzice zmarli przedwcześnie, żyje jednak jeszcze jego wiekowa babcia, którą z rzadka odwiedza. Poniekąd miał szczęście, znajdując takie zatrudnienie, opanował szybko umiejętność kopiowania obrazów, a potem wprowadził w tajniki tego zawodu braci i żonę. Z czasem udało mu się otrzymać także zamówienia bezpośrednie, od holenderskiego biznesmena, bo – paradoksalnie – najwięcej kopii wysyłanych jest do Amsterdamu, gdzie znajduje się muzeum Vincenta van Gogha. Ponieważ Holender obiecał, że przyjmie go pod swój dach i ugości, byle tylko opłacił sobie podróż, Zhao zaczyna marzyć o wyprawie do Europy. Pragnie zobaczyć naocznie prace artysty, którego kopiuje całe swoje dorosłe życie. Poznaje także jego życiorys. Jest w filmie scena, w której wszyscy kopiści z tej pracowni oglądają z przejęciem film o van Goghu, z Kirkem Duglasem w roli głównej. Widzą, że także był biedny i nieszczęśliwy, że nie mógł sprzedać swoich obrazów i czują, jak jest im bliski. W końcu (sądzę, że przy wsparciu autorów filmu) naszemu bohaterowi udaje się spełnić swoje największe marzenie – leci do Holandii. Po przyjeździe wszystko okazuje się nowe i zupełnie inne, niż to sobie wyobrażał. Zdumiony dostrzega swoje kopie w niewielkim sklepiku z pamiątkami, bo jego holenderski przyjaciel wcale nie jest bogaty. Co więcej, kiedy zauważa, że ceny kopii są kilkusetkrotnie droższe od ceny, którą oferował mu "biznesmen", czuje się oszukany i sfrustrowany, ale stara się tego nie okazywać. Odwiedza nie tylko Muzeum van Gogha, ale również

jedzie na jego grób. Po powrocie opowiada o swojej wizycie w Muzeum van Gogha i niewiele ma to wspólnego z rzeczywistością. W swojej opowieści Zhao jest pełnym godności, uznanym kopistą. Jednakże najważniejsza w tym filmie nie jest sama anegdota o biednym chińskim malarzu niezliczonych kopii znanych obrazów. Otóż pod wpływem tego doświadczenia budzi się w nim ludzka podmiotowość. Odtąd pragnie nie tylko kopiować, ale także malować własne dzieła. W tym celu udaje się do rodzinnej wioski i robi portret babci, a potem maluje pejzaż, w którym wzrastał. Kiedy to robi, ktoś mijający go dziwi się, czemu po prostu nie zrobi zdjęcia, ale on uśmiecha się tajemniczo i mówi, że to nie to samo... Także on nie jest już taki sam. Film piękny, bo ukazujący, jak w człowieku sprowadzonym do poziomu mrówki budzi się godność i podmiotowość. A dzieje się tak pod wpływem sztuki...

Trailer filmu:



"Dawson City. Świat zatrzymany" na taśmie filmowej.



Kadr z filmu „Dawson City. Świat zatrzymany”.

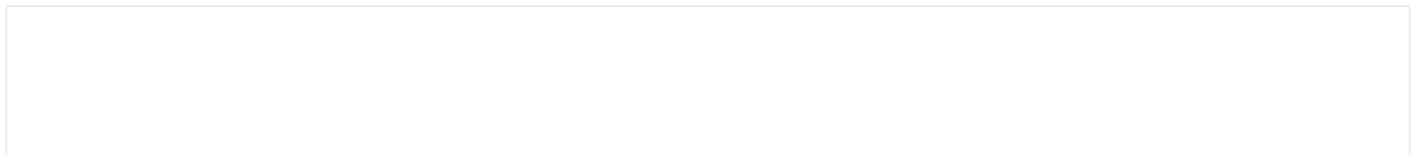
Film **Billa Morrisona** jest niezwykle nie tylko w uwagi na to, że ma cechy filozoficzno-społecznego eseju, ale także dlatego, że cały jest „utkany” z archiwaliów. Reżyser i producent zdobył już uznanie w świecie jako eksperymentator i twórca dokumentów, posługujący się metodą *fund footage*, polegającą na twórczym wykorzystaniu już istniejących materiałów filmowych innych autorów. W Polsce taki filmy zrobił Maciej J. Drygas: „Jeden dzień w PRL” czy „Cudze listy”. I są one znakomite.

Bill Morrison opowiada w swoim filmie historię Dawson City – miasta powstałego podczas tzw. gorączki złota, ale jest to zarazem meta-opowieść o historii kina i o powstaniu Ameryki. Dawson City było początkowo skromną osadą, położoną nad kanadyjską rzeką Jukon. Najpierw zostają z niej wyparci autochtoni, a następnie, w ciągu dwóch lat, liczba mieszkańców osiąga liczbę 40 tysięcy. Przewinęło się przez nią setki ludzi, którzy odegrali potem znaczącą rolę w dziejach popkultury, biznesu i polityki. Ponieważ – w przeciwieństwie do Chińczyków – Amerykanie nie chcą tylko pracować, ale pragną się zabawić, powstają w mieście kinoteatry, które cieszą się wielką popularnością. Kopie filmowe są po seansie składowane w banku (który jest za nie odpowiedzialny), ponieważ przy takich odległościach wysyłanie ich byłoby zbyt kosztowne. Ostatecznie nikt o nie nie dba, składować ich już nie ma gdzie, toteż część zostanie zniszczona, wyrzucona, spalona lub zatopiona. Po latach, w 1972 roku, kiedy zmienne losy miasteczka sprawiły, że kinoteatry przestały istnieć, pewien człowiek odnalazł przypadkiem zakopane taśmy. Blisko 500 filmów trafiło wówczas do kanadyjskich i amerykańskich archiwów i po dziś dzień służą jako nieocenione źródło wiedzy o epoce. W miasteczku, które powstało na skutek "gorączki złota" i gdzie złoża tego cennego kruszcu dawno przestały istnieć, a kopalnie jedynie dokonały ostatecznie dzieła zniszczenia pięknego niegdyś krajobrazu, otóż w tym właśnie miejscu wykopano coś bardziej cennego: zapis ludzkich historii oraz unikalne filmy fabularne, których kopie

nigdzie indziej się nie zachowały.

Film Billa Morrissona jest jednocześnie hołdem dla całej epoki kina niemego. Pojawiają się w nim postacie Chaplina i Arbuckle'a, a także dziesiątki bezimiennych dziś gwiazd. Możemy także zobaczyć, jak tworzyła się tamta rzeczywistość, jak wyglądały trudy pionierskiego życia i jak niezwykła była energia ludzi, którzy wciąż odbudowywali Dawson po kolejnych pożarach. Świat zatrzymany na taśmie filmowej – piękne, poruszające, dające do myślenia kino.

Trailer filmu:



"Rumple. Jak Indianie zatrzęśli światem muzyki"

Wielkie wrażenie zrobił na mnie także kanadyjski film **Catherine Bainbridge i Alfonso Maiorana**, przywracający zbiorowej pamięci wyparty z oficjalnej historii fakt, że to Indianie, a nie – jak dotąd sądzono – Afroamerykanie są twórcami bluesa i jazzu. Sam tytuł filmu pochodzi od charakterystycznego sposobu grania akordów przez Linka Wraya, który dla wielu rockmenów stał się kamieniem milowym rozwoju tego gatunku. Otóż Wray był Indianinem z plemienia Szaunisów. Film uświadamia, że to

Indianie stworzyli amerykańską muzykę, poczynając od ojca bluesa z Deltą – Charleya Pattona, przez królową swingu Mildred Bailey, po legendy rocka: Jimiego Hendrixa i Jesse Ed Davisa, a także Taboo, członka popowego Black Eyed Peas.



Kadr z filmu z Catherine Bainbridge

O tym, że współcześni Indianie odzyskują świadomość swoich korzeni, a także uzasadnione przekonanie o swoim wpływie na kulturę muzyczną Ameryki, świadczą nie tylko wypowiedzi historyków muzyki, ale może przede wszystkim kobiety, które – ubrane w tradycyjne stroje – śpiewają stare pieśni i wykonują je na tradycyjnych instrumentach. Potrafią też rozpoznać indiański

śpiew na płycie Charleya Pattona i w muzyce współczesnych wykonawców. Pięknie mówią o źródłach tej muzyki, która czerpie z krajobrazu – szumu drzew, śpiewu ptaków...

Poza urodą tej muzyki, film nie tylko zmienia obiegowe poglądy, jakoby korzenie bluesa tkwiły w folklorze przybyszów z Afryki. Ci zresztą przemieszali się z ludnością rezerwatów, jak to było w przypadku ojca bluesa – Charlie Pattona. Budujące jest także ukryte przesłanie filmu, mówiące o tym, że kultura Indian nie tylko przetrwała, ale także dała początek i inspirację współczesnym gatunkom muzycznym. Nic nie umiera, rękopisy nie płoną...

Trailer filmu: